Pechowiec — tulipanowka

Jestem pechowcem. Mimo wszelkich moich starań i wysiłków, zawsze los robi mi na złość.

Mam na imię Enzo. Urodziłem się na Pacyfiku, a dokładnie w Basenie Peruwiańskim. Tak, jestem Wodniakiem, czy Rybą, jak nas brzydko przezywają ludzie z kontynentów. Miałem pecha już na wejście.

Platforma E-16/2a należała do raczej starych platform w Basenie Peruwiańskim. Posiadała tylko jeden poziom „ponad poziomem morza" oraz oficjalnie trzy poziomy korzeni, choć faktycznie istniał też poziom najniższy, minus czwarty. Ci z powierzchni - poziom zero mieli najlepiej. Żyli jak ludzie ze stałego lądu. Posiadali bezpośredni dostęp do słońca. Tam zamieszkiwali najbogatsi platformersi. Mój natomiast dom mieścił się na poziomie minus dwa. Nawet przy sztormach promienie słońca tam nie docierały. Niestety. W domu nie miałem okien, bo i po co. Na krańcach głównych ulic znajdowały się przeszklone tarasy. Najczęściej zaglonione. Tam czasem stawałem na dłuższą chwilę i obserwowałem przepływające ryby. No i opadające śmieci, które wyrzucali ludzie z powierzchni. Stare opony, zardzewiałe puszki, potłuczone szkło, opakowania po batonach, czy też ludzkie odchody; wszystko razem nazywane przepięknie - „śniegiem oceanicznym". Niestety oprócz nazwy nie ma w tym niczego ładnego. Raz nawet widziałem opadającego na dno trupa. Ale nigdzie tego zdarzenia nie zgłaszałem. Miałem swoje życie. I swoje problemy. Na co mi ich więcej?

Marzyłem, żebym poprawić swój los. Chciałem coś w życiu osiągnąć. Obojętnie co, byleby zaznaczyć w dziejach ludzkości swoje istnienie. Usensownić swoje istnienie.

Dużo się uczyłem, bo rodzice powtarzali mi, że dzięki wiedzy w życiu dużo się osiąga. Co roku podchodziłem do nieobowiązkowych testów sprawdzających. Startowałem w konkursach i turniejach. Liczyłem na to, że ze względu na dobre wyniki przyjmą mnie do szkoły na powierzchni. Niestety. Zawsze okazywało się, że nie ma dla mnie miejsca, bo pierwszeństwo mają osoby z rejonu, czyli z powierzchni. Później dowiedziałem się, że cwaniacy meldowali swoje dzieci u niby krewnych i w ten sposób zajmowali miejsca w szkołach „ponad poziomem morza". Ponadto powierzchniowcy trzymali sztamę z powierzchniowcami z innych pływających miejscowości. Zdecydowanie bardziej się z nimi utożsamiali, niż z mieszkańcami rodzimej platformy, ale zamieszkującymi korzenie. Mimo mojej determinacji całą edukację zaliczyłem w korzeniach.

Później próbowałem zdobyć pracę na powierzchni. A gdzie tam? Wystarczyło, by wśród kandydatów znalazł się choć jeden powierzchniowiec, a już ci z korzeni byli bez szans. Choćby powierzchniowiec posiadał najgorsze kwalifikacje, to dziwnym trafem, właśnie on był zatrudniony. Rekrutującym nawet nie chciało się „wyssać z palca" uzasadnienia dokonanego wyboru.

O dyskryminacji mógłbym długo biadolić. Ale w końcu zrozumiałem, że byłem naiwny, a to co nas uczyli na etyce to tylko frazesy i memy grzecznościowe. Tak jak się mówi „dzień dobry", co wcale nie oznacza, że faktycznie życzy się komuś dobrego dnia. Zmarnowałem tylko swoje młodzieńcze lata. Zrezygnowałem z czasochłonnych przyjaźni, czy gier komputerowych, po to by wtłukiwać do łba informacje, które byle głupek w każdej chwili może odszukać w necie. Czułem taką wkurwiającą gorycz. Samemu przed sobą było mi wstyd, że okazałem się frajerem.

Żeby się utrzymać przyjąłem propozycję zatrudnienia w fabryce w korzeniach. W korzeniach platformy E-16/2a – tam, gdzie moje miejsce.

Wieczorami, które na piętrze minus drugim nie różnią się specjalnie od poranków, nocy i południ; po pracy zasiadałem przy komputerze. Żeby nie wpaść w otchłań depresyjnego myślotoku - grałem. W różne gry. Najchętniej w takie, gdzie brutalnie morduje się przeciwników. Też oglądałem filmiki. Najczęściej z kobietami z kontynentów, spacerującymi w blasku słońca. Kobiety niekoniecznie musiały być nagie. Ważne, że oświetlało je słońce.

A od czasu, do czasu, tak dla śmiechu, odpowiadałem na głupawe spamy i hejterowe zaczepki.

Pewnego dnia dostałem zaproszenie na planetę Cefi wraz z opłaconym biletem na statek kosmiczny. Roześmiałem się z żartu i odpisałem piękne podziękowanie „że jestem zaszczycony i chętnie ich odwiedzę". Prychałem śmiechem pisząc dyrdymały typu „że świetnie trafili, ponieważ jestem najlepszym kandydatem", „że jestem zdolny, szybko się uczę i wszystko potrafię". Przez kilka tygodni prowadziłem korespondencję z Cefianami. Dla zabawy udawałem, że we wszystko, co piszą, wierzę, a ich propozycję traktuję śmiertelnie poważnie. Wygłupiałem się zapytując o różne szczegóły odwiedzin, aż … w końcu zrozumiałem, że to wszystko prawda. Pojąłem, że Cefianie to kosmici, a nie wirtualni dowcipnisie.

Naukowcy, mimo wieloletnich starań, nie znaleźli inteligentnego życia poza Ziemią. Ludzie dolecieli najdalej do Marsa. A ja, powiedzmy sobie szczerze: po prostu nikt, dostaję zaproszenie na zamieszkaną przez kosmiczną cywilizację planetę. Niesamowite!

Mój statek miał przelatywać obok Księżyca w piątek dziewiętnastego września około godziny siódmej.

Cefianie opłacili mi też przelot na Księżyc. Był z tym pewien kłopot. Oni chcieli, żebym na przystanek na Księżycu udał się we własnym zakresie. Nawet chciałem to zrobić. Ale niestety spieniężony mój majątek (szumna nazwa) oraz maksymalny kredyt, który dostałem – nie pokrywały kosztów podróży. Kwota, którą dysponowałem ledwie co starczała na wizę wjazdową na kontynent (skąd odchodziły promy na Księżyc) i związane z nią formalności. Cefianie tłumaczyli, że nie dysponują środkami, które można zamienić na ziemskie pieniądze. Podejrzewam, że z braku skorzystania z legalnych możliwości, zhakowali system. Ale to mnie nie obchodziło. Miałem inny problem. Bo oprócz pieniędzy wiza kontynentalna kosztuje masę nerwów. Przesłuchania „po co?" i „dlaczego?". Dociekliwe zapytania o jakiegoś wujka z Pakistanu, o którym w życiu nie słyszałem. Ankiety z pytaniami w stylu: *kiedy (z dokładnością plus minus pięć dni) wyrżnął ci się pierwszy ząb mleczny?; czy onanizowałeś się w wieku lat sześciu i ile razy w tygodniu?* Masakra, to mało powiedziane. O tych torturach nawet nie chcę pamiętać. I ich wspominać.

Po wylądowaniu poszedłem rozejrzeć się po księżycowym lotnisku. Dwóch naganiaczy podeszło do mnie z ofertą hotelową.

- Ceny jak z kosmosu! – spojrzałem na ulotki z ceną i krzyknąłem łapiąc się za głowę. Naganiacze się roześmiali najwidoczniej uznając, że żartuję. Nie wiedzieli kim jestem. Bo przecież ubogie cieniasy z korzeni zasadniczo nie latają na Księżyc. - Dziękuję. Zastanowię się. – Powiedziałem „zastanowię się" tylko by sprawa ich oferty pozostała niejako otwarta. Po to, by opłacało im się być jeszcze dla mnie uprzejmym

i by zechcieli odpowiedzieć na następujące pytanie: - Gdzie mogę znaleźć przewodnika? Chciałbym najpierw skorzystać z przejażdżki po Księżycu.

Naganiacze zaprowadzili mnie do baru. Tam spotkałem się z przewodnikiem.

- Nazywam się Vicente – przewodnik przedstawił się podając rękę na przywitanie.

- Jestem Enzo – kiwnąłem głową.

- Oficjalnie zajmuję się przewozami turystycznymi po Księżycu – poinformował Vicente przyglądając mi się badawczo.

- Okej! - podniosłem otwarte dłonie w geście „poddaję się", co miało oznaczać „nie musisz się mi tłumaczyć, cokolwiek robisz". - Chciałbym dostać się tutaj. - Wyciągnąłem z plecaka mapę i palcem wskazałem miejsce. - Śpieszy mi się.

- Spoko. Chodź ze mną.

Vicente wskazał mi drogę przez teren lotniska. Potem wsiedliśmy do małego wehikułu, który przypominał wózek golfowy na gąsienicach. Ruszyliśmy.

- To miejsce jest po ciemnej stronie Księżyca. Trochę nam zejdzie. A co tam na Ziemi słychać? - zagaił rozmowę Vicente.

Gadaliśmy o tak zwanym niczym, czyli o polityce, sporcie, konfliktach zbrojnych, epidemiach, przeludnieniu...

- Ten niby pagórek to przystanek – Vicente wskazał wzniesienie na horyzoncie. - Tam jest jakieś urządzenie, które wysyła sygnały do przelatujących statków. Trzeba cierpliwie poczekać. Panie Enzo, jesteś autostopowicz, czy z zaproszeniem?

- Z zaproszeniem – odparłem nieco dziwiąc się własnej szczerości.

- A to bez problemów. Ziemskie pociągi to mogą się spóźniać, he, he – zaśmiał się Vicente - ale kosmiczne rakiety są punktualne.

- Panie? Vicente. To z tego przystanku ludzie korzystają, by latać w kosmos? - zdziwiłem się

- Taaa... Przystanek jest od kiedy zacząłem tutaj wozić ludzi.

- Panie? Vicente? To naukowcy szukają kosmitów, a pan wie, że na Księżycu jest przystanek? - dalej się dziwiłem.

- A co to ma do rzeczy? - wzruszył ramionami Vicente.

- Powinien pan to zgłosić.

- Panie kochany, ja nie jestem aferzystą. Mam żony i żarłoczne dziecko na utrzymaniu. Chcę spokojnie żyć.

- Ale ludzkość czeka na kontakt z kosmosem.

- Panie Enzo, odczep się pan ode mnie. Miałem panu wskazać przystanek, to wskazuję. Więcej nic mnie nie obchodzi. Chcę spokojnie żyć. I panu radzę to samo. Do widzenia – zatrzymał wehikuł.

- Ale...

- Kto ma wiedzieć, ten wie. Siedź pan cicho i leć dokąd pan chce lecieć. Korzystaj z możliwości, póki jest. Do widzenia – pożegnał się Vicente i odjechał.

W sumie to nie powinienem mu się dziwić. Sam przecież nie zgłosiłem tonącego trupa. Ani kontaktu z Cefianami. Jednak ogólnie byłem w szoku. Naukowcy wymyślają jakieś radary, nie radary, skomplikowane urządzenia, by skontaktować się z pozaziemskimi cywilizacjami, a na Księżycu jest przystanek obcych.

Usiadłem obok tego niby pagórka. Na przystanku pojawiłem się cztery godziny przed odlotem. Miałem jakieś kanapki i czekoladę na drogę, ale czułem takie zdenerwowanie pomieszane z ekscytacją, że chwilowo niczego bym nie przełknął. Cefianie zapewniali, że na promie kosmicznym mam opcję *all inclusive* i że nie muszę brać niczego do jedzenia. Ale różnie to bywa. Staram się być zapobiegliwy. Dwa opakowania prezerwatyw też wziąłem ze sobą, chociaż nie planowałem seksu z kosmitkami. Lepiej się zabezpieczyć.

Siedziałem i czekałem. Co chwilę spoglądałem na czasomierz, a potem w czerń kosmosu. Była szósta czterdzieści, gdy niespodziewanie zaczęły padać z nieba kamienie. Skuliłem się w dołku, zasłaniając głowę rękoma. Z przerażeniem patrzyłem na kamienie spadające tuż koło mnie. To cud, że mnie żaden nie trafił.

To była godzina dokładnie siódma, spojrzałem na czasomierz, gdy pagórek zaczął emitować pojedyncze wiązki światła i równocześnie niskie dźwięki. Mimo spadających kamieni przechyliłem głowę. Nade mną wsiał błyskający kształt. Pomyślałem, że to statek na Cefi. Godzina się zgadzała. Wstałem na równe nogi i zacząłem radośnie machać rękoma. Poczułem ból. Kamienie uderzały mnie po całym ciele. Statek nie lądował. Zdenerwowałem się. Energiczniej zacząłem machać. Podskakiwałem. Spadał na mnie grad kamieni. Ignorowałem ból. Zdawało mi się, że statek zaczyna się oddalać. Straciłem przytomność. Najwidoczniej jakiś kamordol przywalił mi konkretnie w łeb.

Kiedy się ocknąłem było spokojnie. Leżałem pokryty warstwą pyłu i kamieni. Statku żadnego nie zauważyłem. Spojrzałem na czasomierz. Była chwila przed dziewiątą. Otrzepałem się. Wstając na nogi stwierdziłem, że zasadniczo nic mi się nie stało. W sensie, że kości całe, nic nie skręcone. Ciało bolało mnie owszem. Tak jak po pobiciu. Kilkakrotnie rozejrzałem się uważnie wkoło i nad sobą. Żadnej rakiety nie zobaczyłem.

- Kurwa! Kurwa! Kurwa! - zacząłem drzeć się ze złością i rozżaleniem.

Jak mi najgorsze emocje zeszły usiadłem i zacząłem dumać nad tym co dalej robić. Dumałem. Dumałem. Potem rozpłakałem się. Trochę mi ulżyło. Postanowiłem poczekać do siódmej następnego dnia. Zasnąłem. Po ciemnej stronie Księżyca cały czas jest ciemno, więc trudno powiedzieć, że obudziłem się następnego dnia. Obudziłem się w kolejnej dobie. Zjadłem całe zapasy. Pochodziłem sobie. Pooglądałem pagórek, który wczoraj emitował światło i dźwięk. Pagórek wyglądał na zupełnie zwyczajny. Żadnych śladów elektroniki, jakieś sztuczności wskazującej, że jest to dzieło inteligentnych istot. Niestety o siód-

mej nic się nie zdarzyło. Nie wiedziałem co robić. W końcu postanowiłem, że muszę wrócić na lotnisko, do ludzi. Zadzwoniłem po Vicentego.

Kiedy ujrzałem jego wehikuł ucieszyłem się. Szczerze powiedziawszy nie zanotowałem sobie żadnego innego kontaktu. Jak nie Vicente, to naprawdę nie wiem, kto mógłby mi pomóc. Po prostu psychicznie nastawiłem się na podróż. Innej opcji nie brałem pod rozwagę.

- Witaj Enzo. Stchórzyłeś jednak? - zapytał wprost Vicente.

- Nie. Był deszcz kamieni... - zacząłem.

- Aaaaa... One w deszczu nie lądują. Miałeś wyjątkowego pecha, bo kamienne deszcze bardzo rzadko się zdarzają. Pech.

- Chciałem poczekać na następny.

- A to trzeba się odpowiednio przygotować. Namiot. Wałówka na kilka tygodni.

- No właśnie.

- I jeszcze nie wiesz na kogo trafisz. Autostopowiczów nie każdy bierze. A zaproszenie miałeś na konkretny lot. Czyli... - pokiwał współczująco Vicente – sytuacja nieciekawa.

- Muszę skorzystać z internetu - mruknąłem.

Pomilczeliśmy jadąc w kierunku lotniska.

- Wierzysz w przypadki? – odezwał się Vicente.

- Nie wiem. To zależy.

- Jak to mądrale gadają: „okres obrotu Księżyca wokół własnej osi wynosi dokładnie tyle samo, co okres obrotu Księżyca wokół Ziemi”.

- Eeeee... Yyyyy...

- Oj, przestań eeeyyyować. Po prostu Księżyc tak się kręci, że z Ziemi zawsze widać tylko jedną i tę samą stronę Księżyca. Jasną stronę. A po tej ciemnej jest przystanek dla rakiet obcych. Moim skromnym zdaniem kosmici celowo ustawili tak Księżyc, żeby ludzie nie widzieli ich rakiet.

- A co im tam zależy?

- Nie wiem, ale różne mogą być powody. A ty lubisz osiedlowe monitoringi? Wszyscy potem wiedzą kiedy zabalowałeś i pijany wracałeś w nocy do domu. Wiedzą, że spotykasz się z trzema kobietami równocześnie i dodatkowo jesteś niezwykle pomocny pięknej żonie radnego. Pomagasz nosić jej zakupy. Pomagasz zaparkować auto...

- Aaa...

- Kobiety dowiadują się, że je oszukujesz – ciągnął Vicente. - Wszystkie z tobą zrywają. Zostajesz sam na

lodzie. A na dokładkę radny nasyła na ciebie straż miejską, która pod byle pozorem cię spałuje.

- Aaa... No tak...

- A widzisz! Kto regularnie obserwuje, ten często zaczyna zauważać powiązania.

- U nas raz złapali złodzieja po rozklejonym na czubku bucie – opowiadałem. - Wiesz, tak na czubku to tworzywo z podeszwy się odkleiło i wygięło. W charakterystyczny sposób. Mieli nagrania z monitoringu. I gościu poszedł siedzieć, bo zdradził go ten but. Taki głupawy szczegół go zdradził.

- A widzisz! - tryumfował Vicente. - Nigdy nie wiadomo, do czego wiedza z podglądactwa, może się komuś przydać. Kosmici stwierdzili, że lepiej nie rzucać się w oczy przypadkowym obserwatorom. Dlatego ustawili tak Księżyc.

- Być może jest tak jak mówisz.

- Jestem tego pewien, Enzo.

- A może nie chodziło tylko o podglądactwo? Ale na przykład względy techniczne?

- Jakie?

- Nie wiem. Musiałbym się dłużej zastanowić. Nie wymyślę na poczekaniu. Różne parametry i czynniki są ważne.

- Nie będę się upierał co do powodów. Chodzi mi zasadniczo o to, że to nie jest przypadek. Jestem pewien, że to obcy ustawili kręcenie Księżyca.

Na lotnisku skorzystałem z internetu i skontaktowałem się z Cefianami. Wyjaśniłem całą sytuację. Opowiedzieli, że rozumieją i mogę przylecieć następnym kursem. Spytałem kiedy to będzie. Odpowiedzieli, że muszą się zorientować. Pomyślałem, że pewnie przyjdzie mi poczekać na Księżycu nawet kilka tygodni. A ja bez forsy. Dlatego poprosiłem Vicentego, by załatwił mi jakąś pracę.

- Księżycowcy jak mogą, to pomogą. – Vicente przyjaźnie poklepał mnie po ramieniu. - Możesz sprzątać na lotnisku.

- Okej! Pasuje mi – odpowiedziałem. - Dzięki, Vicente.

- Ale kible też. Rozumiesz?

Po pierwszym dniu pracy zrozumiałem, że nie jest to wdzięczna praca. Zdecydowanie poniżej moich kwalifikacji. Poza tym byłem po studiach i nie byłem przyzwyczajony do pracy fizycznej, nie wspominając już, że w smrodliwych warunkach, po łokcie w gównie.

- I jak? Dasz radę? - spytał Vicente.

- Dam – odpowiedziałem sądząc, że to praca tymczasowa.

Cefianie napisali, że potrzebują trochę czasu, żeby ustalić termin następnego kursu z Księżyca. Po dwóch tygodniach otrzymałem informację. Kiedy przeczytałem tytuł maila poczułem pełnię szczęścia. Niestety trwało to tylko kilka sekund. Potem dowiedziałem się, że następny statek odlatuje za lat dziesięć. Konsternacja. Zatkało mnie.

Nie miałem pieniędzy na bilet na Ziemię. Spytałem Cefian, czy mogliby mi pomóc. Odpowiedzieli, że ich zdaniem lepiej poczekać przy przystanku, skoro wkrótce jest następny statek. Nie rozumieli, że dziesięć lat to długo. Pisali, że skoro zgodziłem się odwiedzić Cefi, to powinienem poczekać. Między wierszami czytając doszedłem do przekonania, że oni nie chcą włamywać się do ziemskiego systemu związanego z pieniędzmi. Już wcześniej Cefianie tłumaczyli, że nie dysponują środkami, które można zamienić na ziemskie pieniądze.

Przez trzy lata pracowałem jako sprzątacz, żeby uzbierać kasę na bilet z Księżyca na Ziemię. Kiedy w końcu to mi się udało; otrzymałem dwie, a właściwie trzy propozycje. Pierwsza to stanowisko sprzątacza na promie Ziemia – Księżyc. Mógłbym wtedy przelecieć się jako załoga, a będąc na Ziemi stwierdzić, że rezygnuję z pracy. Drugą opcję zaprezentował mi Vicente. Wyjaśnił, że ma problemy ze zdrowiem: musi poddać się operacji, potem rehabilitacja, będzie potrzebować odpoczynku. A jego jednoosobowa firma ma już swoją markę, stałych klientów i tak dalej. Reasumując zaproponował mi współudział. Trzecia propozycja to niemoralna propozycja. Spodobałem się pewnej bogatej damie, która przyleciała na wczasy na Księżyc. Zaproponowała mi naprawdę duże pieniądze na stanowisku osobistego wibratora. Tyle, że owa dama miała chyba z dziewięćdziesiąt lat. Śmierdziała starością. Ale co tam. Człowiek dla pieniędzy gotów jest zrobić wszystko.

- Wchodzę w to – odpowiedziałem na jej ofertę.

Niestety ułomne ciało mnie zawiodło. Zsabotowało świadome decyzje. Nie, nie chodziło o wzwody. Z tym sobie radzę. Jakby co nadrabiam wyobraźnią. Ale dama zażyczyła sobie pieszczot oralnych. Poczułem smród gnijących wnętrzności i porzygałam się. Takim pawiem, że hej. Zarzygałem jej uda, brzuch, no i przede wszystkim waginę. I to był koniec. Zwolniła mnie. Nawet nie próbowałem przepraszać. Wiedziałem, że nie dałbym rady tego ciągnąć. Był to krótki epizod mego życia, ale kiedy tylko go wspomnę wszelka dostępna treść żołądka podchodzi mi do gardła.

Chciałem wrócić na Ziemię, ale zacząłem rozważać różne warianty przyszłości. Wszystkie za i przeciw. I poszedłem do roboty do Vicentego. Na Księżycu mogłem tak zwany dzień i noc spacerować w blasku Słońca. Natomiast na Ziemi czekał mnie los szczura w podwodnej norze na poziomie minus dwa na podrzędnej platformie. Na Ziemi byłbym nikim, a na Księżycu jednak kimś; to jest przewodnikiem VIPów. Z ręką na sercu przyznam, że z pracy u Vicentego byłem zadowolony. Nie było nigdy nudno. Zarobki godziwe. Napiwki naprawdę przyzwoite.

Po latach milczenia odezwali się Cefianie. Przypomnieli mi, żebym stawił się na przystanku, bo będzie przelatywał statek na Cefi. Miałem przygotowaną w głowie, przemyślaną odpowiedź, że rezygnuję z zaproszenia. Ale, niestety, odezwał się głód przygody i ciekawość. Skąd to się, kurwa, w człowieku bierze, że fajne, przyjemne, dostatnie życie w jednej chwili gotów jest wyrzucić na śmietnik dla niepewnej przyszłości?

- Enzo, chłopie, zastanów się. Może zginiesz? Zjedzą cię. Może będą na tobie robić eksperymenty. Co ty

o nich wiesz? - Vicente próbował zniechęcić mnie do podróży.

- Żal ci straty dobrego pracownika i dlatego tak mówisz - odpowiedziałem.

- Źle ci na Księżycu? Chcesz podwyżki?

- Nie o to chodzi, Vicente. Szanuję cię jako szefa i najlepszego przyjaciela jakiego w życiu miałem. Nie jest mi tutaj źle.

- Nie rozumiem. Po cholerę się w to pakujesz? Po co ryzykujesz?

- Gdybym nie ryzykował nigdy bym ciebie nie poznał. Nigdy bym nie przyleciał na Księżyc - wyjaśniałem.

- Ale na Księżycu masz do czynienia ze swoim gatunkiem. Z ludźmi. Wiesz, że byli tacy co obiecywali wrócić. Rezerwowali hotel i umawiali się z nami, żebyśmy ich odebrali z przystanku. I nie wrócili. Nigdy. Opamiętaj się! - Vicente objął mnie dłońmi i energicznie potrząsał.

- Vicente, nie dramatyzuj. Po co żyjemy? Po co ja żyję? Jaki jest sens mojego życia? Czuję, że ta podróż to moje przeznaczenie.

- A jeżeli się mylisz?

- Nigdy się tego nie dowiem, jak nie spróbuję.

- Jesteś kretynem, Enzo – podsumował Vicente.

- Być może. Ale wolę żałować, że źle zrobiłem, niż żałować, że nic nie zrobiłem.

I jak gówniarz, jak idiota – pełen ekscytacji, buzującej we krwi adrenaliny – stawiłem się na stanowisku po ciemnej stronie Księżyca.

Była równa godzina przed planowanym przylotem i znów zdarzyło się coś, co prawie nigdy się nie zdarza. Pech. Kamienny deszcz. Zacząłem przeklinać.

- Pierdolony kosmos! Wkurwiasz mnie wszechświecie! Kurwa, zawsze na złość. Kurwa! Kurwa! – klątem. Byłem tak wściekły, że gdyby w tym momencie dali mi broń i kazali strzelać, zabiłbym każdego.

O dziwo, tuż przed planowaną godziną, kamienie przestały spadać. Ostrożnie wstałem z dołka, w którym przycupnąłem chroniąc się przed uderzeniami. Zobaczyłem statek wyglądem przypominający stożek. Musiał wylądować w mgnieniu oka, bo zauważyłem go, gdy stał już na Księżycu. Śmiało podbiegłem do niego. Nie chciałem, żeby mi znowu uciekł.

Nie otwarły się żadne drzwi, klapy, jak to sobie wyobrażałem, tylko jakaś siła wessała mnie do środka. Momentalnie zakręciło mi się w głowie. Czułem taki stan jak po nadużyciu alkoholu. Otępienie? Pamiętam tylko, że coś jadłem i piłem. Miałem wrażenie, że minęło zaledwie dziesięć, piętnaście minut, gdy statek wypluł mnie na planecie Cefi. A przypuszczałem, że podróż zajmie kilka lat. Cóż. Zdziwiłem

się, że trwało to tak niesamowicie krótko.

Na lotnisku zobaczyłem pierwszych Cefian. Przypominali ponad dwumetrowe ziemskie śniegowe bałwany. Ich ciało to jakby cztery kule jedna na drugiej. Ta kula druga od góry to jakby głowa, bo miała oczy i otwór gębowy. Z każdej kuli wychodziły po cztery odnóża (ręce, nogi – nie wiem jak to nazwać) zbudowane z licznych małych kulek tworzących jakby sznur.

Podali mi tabletkę i karteczkę z napisem „łyknij sobie, a będziesz rozumiał nasz język". To łyknąłem i faktycznie po chwili znałem ich język.

Mógłbym tam się rozpisywać o tym i o owym, ale najpierw wolę przejść do sedna. Czyli do celu, przyczyny, dla której Cefianie mnie zaprosili.

- Mamy na Cefi przedstawiciela z Ziemi. Bardzo jesteśmy nim zafascynowani. Jego ruchami. Tym w jaki wyrafinowany sposób się odżywia. Jego majestatem. Wyglądem. Jest taki niezwykły i tajemniczy. Wzbudza zachwyt i pożądanie. I w ogóle, w ogóle... - opowiadali z ekscytacją. - Problem polega na tym, że nie umiemy z nim się porozumieć. Jesteście oboje z Ziemi, więc liczymy, że ty nam w tym pomożesz.

- Okej, spróbuję - odpowiedziałem.

Zaprowadzili mnie do przestronnego, świetlistego pomieszczenia, w którym w centralnym miejscu stała donica z kwitnącym na biało-czerwono amarylisem. Na początku sądziłem, że kwiat amarylisa stanowi tylko wystrój wnętrza, a właściwie to czekamy na przyjście jakiegoś człowieka. Ku mojemu zdumieniu okazało się, że ową niezwykłą w mniemaniu Cefian istotą, z którą niby ja mam się porozumieć, jest właśnie amarylis. Amarylis – taka zwykła, cebulowa roślina. Kiedy to zrozumiałem, skrzywiłem się. Potem nerwowo potarłem czoło.

- To jest roślina – powiedziałem jąkając się. - Nie umiem rozmawiać z roślinami.

- Ale ta istota pochodzi z Ziemi - odezwał się Cefianin o nazwie Bolo.

- I co z tego? – wzruszyłem ramionami.

- Ona pochodzi z Ziemi. Ty pochodzisz z Ziemi. - Czułem, że Bolo próbuje mnie naprowadzić na jakiś tok myślenia, tylko ja nie mogłem zaskoczyć.

- Nie rozumiem związku – odparłem, bo nie rozumiałem o co mu chodzi.

- No, ona pochodzi z Ziemi i ty pochodzisz z Ziemi – Bolo powtarzał jak mantrę, na co ja stale wzruszałem ramionami.

Następnego dnia przyprowadzili mi tak zwaną „mądrą głowę", cefiańskiego profesora od obcych cywilizacji. Nazywał się trochę śmiesznie, bo Kolo.

- Każdy Cefianin zasadniczo zna minimum dwa, trzy języki obce – zaczął Kolo.

- Ja też znam języki obce, portugalski, angielski – pochwaliłem się.

- Ale to są języki ludzi.

- Obcy język to język mieszkańców innych planet. U nas oczywistą oczywistością jest, że Cefianie znają języki, którym posługują się inni Cefianie. Chyba tego właśnie nie zrozumiałeś w rozmowie z Bolo. Otóż Cefianie potrafią porozumieć się ze wszystkimi żyjącymi na Cefi organizmami.

- Z roślinami też?

- Organizmów nie dzielimy na lepsze, czy gorsze. Każda żywa istota czuje, myśli, czegoś pragnie... - Kolo zamyślił się. - Przez sam fakt istnienia jest wartością samą w sobie.

- Ludzie nie potrafią rozmawiać z roślinami – zaakcentowałem. - Na Ziemi są tacy ludzie, którzy potrafią wytresować zwierzę, żeby wykonywało polecenia. Ale nie nazwałbym tego rozmową.

- Przeglądając wasz internet zauważyłem, że wielu ludzi marzy o spotkaniu z kosmitami, przedstawicielami innych planet. Ale jak wy, ludzie, to sobie wyobrażacie, skoro nie potraficie porozumiewać się z waszymi rodzimymi, ziemskimi stworzeniami? Dla Bolo, dla przeciętnych Cefian, to jest niepojęte.

- Nie rozumiem.

- Jakby ci to wyjaśnić? Oddychasz powietrzem. To oczywiste. Nie musisz się tego uczyć. Tak samo jest oczywiste, że powinieneś porozumieć się z innym organizmem z Ziemi. Twoje ciało i ciało amarylisa zbudowane jest z podobnych cząsteczek, podobnego zestawu atomów, macie podobny kod genetyczny. Jesteście jak brat i siostra.

- Ale roślina nie ma ust, więc nie mówi – palnąłem bez zastanowienia.

- Twoja uwaga jest najłagodniej mówiąc, żenująca – stwierdził Kolo. - Przecież porozumienie nie zawsze wymaga werbalnych słów. A niemy człowiek to jak roślina? Już nie dajesz mu prawa do myślenia, pragnień?

- Daję. Jest język migowy.

- A gdyby ów człowiek był jeszcze niewidomy?

- To...

- I głuchy? I bez rąk?

- Poddaję się.

- A ja nie – podkreślił Kolo. - Ja nigdy się nie poddaję. Bo jestem profesorem. Naukowcem i nauczycielem.

- Już rozumiem. Powinienem umieć rozmawiać z roślinami. No, ale nie umiem. Koniec dyskusji - podsumowałem.

- Nie. To nie jest koniec. Ta umiejętność tkwi w tobie. Musisz ją z siebie wykrzesać.

- To się nie uda. Ludzie nie potrafią rozmawiać z roślinami. Nie jestem wyjątkiem. Też nie potrafię.

- Posiedzisz z amarylisem, aż w końcu się uda. To postanowione – oznajmił Kolo.

- Bzdura – pokręciłem głową.

- My po to cię zawezwaliśmy z Ziemi.

- Tylko po to?

- Tak. Tylko po to. Dla Cefian to aż, po to.

- A nie możecie porozmawiać ze mną? Co ten amarylis mógłby takiego ciekawego wam przekazać? - zirytowałem się wskazując na kwitnącą roślinę.

- Nie unoś się – grzecznie poprosił Kolo. - Szczerze? On jest dużo ciekawszy niż ludzie. Choćby jego sposób samoodżywiania jest fascynujący. Ty zjadasz inne organizmy. To kosmiczny banał.

- Czyli mną, człowiekiem nie jesteście zainteresowani? - spytałem.

- Nie. Was ludzi zasadniczo znamy. Przez wasz internet.

- To tam nikt nie napisał, że ludzie nie rozmawiają z roślinami?

- Nie – zamyślił się Kolo. - Chyba nie.

- Bo to oczywista oczywistość – zdenerwowałem się.

- Czy ja wiem - westchnął.

Potem Kolo przytoczył mi kilka przykładów. Nie mogę odtworzyć w pamięci tych słów, ponieważ nie zrozumiałem o co w nich chodziło. O jaką analogię. Jaki sens. Kolo opowiadał między innymi następującą historię. Otóż na Ziemi w Indiach kilku mężczyzn zgwałciło dwunastoletnią dziewczynkę. Kiedy dowiedział się o tym ojciec dziewczynki, to zwołał do siebie całą bliższą i dalszą rodzinę, wszystkich krewnych. Potem ów ojciec na oczach rodziny oblał swoją córkę benzyną i podpalił. Powiedział, że zasłużyła na śmierć. Nikt z ludzi nie uratował dziewczynki. Umarła. Była też historia o syrenach. W ziemskich oceanach żyli ludzie z ogonami i kostnym grzebieniem na czaszce. Byli inteligentni, posiadali swój śpiewny język. Od czasu do czasu dwunożni ludzie dowiadywali się o ich obecności, miejscach występowania. Wówczas władze zaprzeczały temu faktowi i równocześnie wysyłały żołnierzy, by zabiły syreny. Syreny, żeby przetrwać musiały ukrywać swoje istnienie. Te mniej ostrożne grupy lub te, które zaufały człowiekowi – zostały bezlitośnie wymordowane, otrute lub w inny sposób unicestwione.

- Rozumiesz? - spytał Kolo po wygłoszeniu mi kilku historyjek o ludziach zaczerpniętych, jak sądzę, z naszego internetu.

- Nie wiem. Chodzi ci o to, że ludzie bywają źli?

- Ojojoj – westchnął Kolo. Domniemywałem, że znaczyło to coś w stylu „dureń z ciebie”.

Zostałem uwięziony w jednym pomieszczeniu z amarylisem. Właściwie „uwięziony” to nieprecyzyjne określenie. Zasadniczo mogłem wyjść. Tylko że nie miałem gdzie i dokąd. Po tej planecie nie mogłem chodzić swobodnie. Podłoże stanowiła skała w postaci ostrych jak sztylety wypustek, igieł. Podłoże było nie tylko ostre, ale i śliskie. Mało tego. Jeszcze zmienna grawitacja. Raz większa, po chwili mniejsza. Próbowałem wychodzić na zewnątrz, nawet w ochraniaczach. Zawsze kończyło się tak samo. Upadałem i raniłem boleśnie ciało.

Tylko w przygotowanym dla mnie, a właściwie dla amarylisa, pomieszczeniu mogłem normalnie się poruszać. Cefianie zapewniali mi pożywienie (jakieś lokalne mamałygi, ale zjadliwe), opiekę medyczną, stabilną, sztuczną grawitację. Pytali, czy potrzebuję towarzystwa, czy zgadzam się na odwiedziny. W tej kwestii szanowali moje zdanie. Ale i tak czułem się jak małpa w zoo.

- Nic tu po mnie. Chciałbym wrócić na Ziemię – poprosiłem.

- Ściągnęliśmy cię tutaj, żebyś pomógł nam w kontaktach z amarylisem – odpowiedział Bolo. - Dopóki nie wypełnisz zadania, powrót jest niemożliwy.

- To ja jestem tutaj więźniem?

- Jesteś gościem.

- Więc chcę opuścić tę planetę.

- Nikt cię siłą nie trzyma. Drzwi są otwarte. Możesz iść.

- Ale zorganizujcie mi powrót na Ziemię.

- To już twój problem. Na Cefi jesteś gościem, ale do obowiązków gospodarza nie należy organizacja powrotu gościa do domu. Nie wspominając o opłacie za przejazd.

Kłóciłem się z Bolo dość długo. Chyba ze trzy tygodnie. Ale on twardo trzymał się swoich racji. Czułem, że moje argumenty to przysłowiowy groch rzucany o ścianę.

- To dajcie mi chociaż dostęp do ziemskiego internetu – poprosiłem zmęczony słowną przepychaną.

- To niemożliwe – odparł Bolo.

- Dlaczego? Przecież ze mną kontaktowaliście się przez internet. A Kolo opowiada historyjki zaczerpnięte z netu.

- Technicznie to możliwe.

- Więc?

- To właśnie Kolo uważa, że internet odciągałby cię od głównego zadania – tłumaczył Bolo.

- Od głównego zadania?

- Twoim zadaniem jest nawiązanie kontaktu z amarylisem. Chcemy, żebyś nauczył nas jak się z nim porozumieć.

Mijały miesiące, lata. Ja samotny na obcej planecie. Bez ludzi. Bez internetu. Wierzyłem w cud. Nadzieja podobno umiera ostatnia.

- Gdybyście zaprosili tutaj innych ludzi. Może wspólnie dogadalibyśmy się z amarylisem – zaproponowałem pewnego dnia. Pomyślałem, że skoro nie mogę wrócić na Ziemię, to chociaż załatwię sobie towarzystwo.

- Nie ma takiej potrzeby. Inni ludzie, tak jak internet, mogliby cię rozpraszać. Enzo, przestań się lenić i wymyślać wymówki. Skup się na zadaniu – polecił Bolo.

Po ośmiu latach Na Cefi skończyły mi się pomysły, straciłem nadzieję i nie wiem, czy to miało związek, ale rozchorowałem się. Było ze mną bardzo źle. Nie miałem siły wstać. Czułem, że umieram.

Cefianie przysunęli mi łóżko, aby w zasięgu dłoni i wzroku miał amarylisa. Byłem zły i przemknęło mi przez myśl, żeby rozwalić donicę z tą cholerną rośliną. Ale nie miałem wystarczającej siły. Wyciągnąłem tylko dłoń i palcami dotknąłem górnej części cebuli (wystającej ponad warstwę ziemi).

Myślotok skierowałem ku amarylisowi: „*Ty wredna roślino. To przez ciebie tutaj utknąłem. Umieram. Całe moje życie było bez sensu. I śmierć też będzie bez sensu. Każą mi z tobą rozmawiać. Ale jak? Jak ja mogę to zrobić? To przecież niemożliwe (...). Pomóż mi. Błagam cię. Wołam cię. Amarylisie. Odezwij się do mnie. Jesteśmy jak brat i siostra. Ja chcę cię poznać. Proszę. Nie odmawiaj umierającemu. Ulituj się nade mną. Kwiatku, proszę. Nie mam już siły. Jestem sam. Nikogo nie obchodzę (...)*”.

I stało się. Zmartwychwstałem.

- Cześć, Enzo – usłyszałem, choć nie było żadnego dźwięku.

- To halucynacje? - szepnąłem.

- Nie. Rozmawiamy. Nazywam się amarylis Jarosław. W sumie nie powinienem się do ciebie odzywać, ale wzruszyłem się twoją przemową...

Zacząłem rozmawiać z rośliną. O wszystkim. Ale chcę wyjaśnić, dlaczego użyłem słowa zmartwychwstanie. Zmartwychwstałem, bo zmieniłem perspektywę. Jak ślepy, który nagle odzyskuje wzrok. Jego życie nabiera innego wymiaru. Jakby dostało się nowe życie. To już stara, oklepana analogia. Ale jakże trafna. Złote rybki w kulistym, szklanym akwarium. To jest ich świat. Nie widzą, nie czują wody, w której pływają. Bo woda jest wszędzie, więc jakby nigdzie. Zupełnie znika z horyzontu postrzegania. Rybki jej nie doświadczają. Woda jako tło staje się niczym. I nagle jedna rybka wyskakuje z wody i wtedy... Zmartwychwstaje. W ułamku chwili zaczyna rozumieć, że akwarium to tylko element rzeczywistości, że woda to nie nic, że są inne alternatywy, jak na przykład powietrze. Brak mi słów, więc tak to opisuję. Tak się czułem. Olśniony. Jakbym zmartwychwstał. Rozmawiałem z amarylisem tak lekko, tak bez trudu. Jeszcze lżej mi szło niż w słownej dyskusji, w której mimo wszystko trzeba szukać w

głowie właściwych słów.

Szybko wyzdrowiałem. Rozmowa z amarylisem napawała mnie radością.

- Cefianie cię tutaj ściągnęli, żebyś wyciągnął ode mnie informacje. Ale muszę cię ostrzec. Wbrew pozorom byłeś bezpieczny, gdy nie miałeś ze mną kontaktu – poinformował amarylis Jarosław.

- Dlaczego? - zdumiałem się.

- Bo oni chcieliby dowiedzieć wszystkiego. Najpierw opowiesz im wszystko co wiesz o mnie. A Cefianie nadal nie będą czuć nasycenia wiedzą. Potem będą ci kazać wyciągać ze mnie kolejne informacje. To nie będą już luźne rozmowy, ale męczące przesłuchania. Będą ci kazać, byś wyjaśnił w jaki sposób się ze mną komunikujesz. Będziesz się starał, ale nie zaspokoisz ich ciekawości. Nie dasz rady wszystkiego wyjaśnić.

- Dlaczego?

- Jesz pokarm, ale czy wyłącznie na podstawie tego faktu, mógłbyś wyjaśnić cały proces trawienia pokarmu i budowę układu pokarmowego? Jesz i czujesz, że jedzenie służy życiu. Tyle. Tylko tyle. Cefianie chcą poznać cały mechanizm. Poprzyczepiają ci do mózgu różne kable. Będą obserwować, co się dzieje z twoimi neuronami. W końcu i to im nie wystarczy. Zabiją cię, by dokładnie przebadać twoje ciało, impulsy, oscylacje, cuda wianki.

- Przerażasz mnie, amarylisie Jarosławie.

- Ostrzegam. Lepiej nic im nie mów. Nie przyznawaj się, że nawiązałeś ze mną kontakt. Cefianie będą cierpliwie czekać na twoje przebudzenie, a ty, Enzo, pożyjesz w świętym spokoju do końca swoich dni. Tylko nie możesz im się przyznać, że ze mną rozmawiasz. Pamiętaj.

Jarosław opowiedział mi wiele rzeczy. Chciałem je zapisać, ale Jarosław mi odradził. Najważniejsze to chyba to, że wszystkie organizmy ziemskie mogą ze sobą się swobodnie porozmawiać. Jesteśmy podobni, jak brat i siostra, i wystarczy to po prostu załapać. Jak pływanie. Niby ktoś coś tam tłumaczy jak machać rękami, ale wielu teoretyków machania rękoma nie potrafi pływać. Trzeba zaufać wodzie. Nie wodzie. Sobie? Nie myśleć. Dać się ponieść. Mała kaczuszka, co niedawno wykluła się z jaja, wchodzi do wody i pływa. Tak po prostu. I tak po prostu można porozumieć się z każdą istotą żywą na Ziemi. Nie wiem jak zbudowany jest układ komunikacyjny, z jakich organów się składa, czy nośnikiem są impulsy elektryczne, drgania atomów, czy związki chemiczne. Tak jak nie wiem, jak zbudowany jest układ pokarmowy i na czym dokładnie polega proces trawienia – ale umiem jeść.

Myślałem też, na początku, że może przez amarylisa przemawia do mnie sam Bóg. Bo przecież Bóg może być wszędzie.

- Jestem amarylisem, nie bogiem wszechwiedzącym – uparcie dementował moje spostrzeżenia amarylis

Jarosław.

- A niby skąd u zwykłej rośliny taka ogromna wiedza? Co roślina taka jak ty może wiedzieć przykładowo o pływaniu? - dociekałem.

- Czy trzeba być jajkiem na patelni, żeby wiedzieć jak się robi jajecznicę? - odpowiadał amarylis Jarosław wprawiając mnie w osłupienie.

- Amarylis z wiedzą o przyrządzaniu jajecznicy. Niesamowite!

- Dlaczego normalni ludzie nie rozmawiają ze zwierzętami i roślinami? - spytałem któregoś razu.

- Cóż. Jestem amarylisem, nie bogiem wszechwiedzącym – odpowiedział, jak zwykle, Jarosław.

- Ale jak sądzisz?

- Przyjrzyj się Cefi. Tej planecie. Ona jest pusta. Nagie skały. Czy widziałeś inne stworzenia oprócz Cefian?

- Faktycznie, masz rację. Są tylko Cefianie.

- Cefianie unicestwili wszelkie życie na swojej planecie.

- Dlaczego to zrobili?

- Dawno to się stało. Zostały im tylko nagie, ostre jak brzytwa skały – zwrócił uwagę amarylis Jarosław.

- Ale dlaczego?

- Przeanalizujmy zachowanie człowieka. Człowiek na przestrzeni czasów ewoluował w taki sposób, by zabijać konkurentów. Na Ziemi jest wiele gatunków roślin, grzybów, ptaków... A tylko jeden gatunek człowieka. Nie zastanowiło cię to nigdy? - spytał amarylis Jarosław.

- Nie - odparłem.

- Bo wasz gatunek wymordował inne gatunki ludzi.

- Syreny? Opowiadał o nich Kolo.

- Nie tylko syreny. Całą menażerię gatunków lądowych. I małpy człekokształtne, człekopodobne również.

- Ale orangutany przetrwały – wtrąciłem.

- Zauważ gdzie? W lasach na Borneo, Sumatrze. Ale dlaczego nie w wielkiej Azji? Szympansy, goryle, ale gdzieś w Afryce. W rejonach, gdzie żył człowiek najmniej ucywilizowany. Bo człowiek nienawidzi myślących konkurentów. Morduje ich z całą bezwzględnością.

- Ludzie od wieków prowadzili wojny i mordowali się wzajemnie.

- No widzisz – triumfował amarylis Jarosław. - To dowód, że mam rację. Człowiek najpierw wymordował konkurencyjne gatunki, a potem konkurencyjne, inne grupy ludzkie. Każdy inteligentny gatunek to wróg.

- Do czego zmierzasz?

- W legendach czasem występuje człowiek, który rozmawiał ze zwierzętami i roślinami. Nawet jeżeli inni ludzie nie uwierzyli, że ów człowiek faktycznie mówi prawdę, że rozmawia z innymi gatunkami, to i tak najprawdopodobniej owe zwierzęta gadające i rośliny zostały zabite i zniszczone przez ludzi.

- Dlaczego?

- Tak dla pewności. Z daleko posuniętej przezorności. Bo może tam siedzą złe duchy? Ironizuję, rozumiesz?

- No, tak... - burknąłem, bo nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

- Dlatego rośliny nie chcą rozmawiać z ludźmi. Ludzie, gdyby wiedzieli że rośliny myślą, uznaliby je za konkurencję i zniszczyli. Cefianie nie utracili kontaktu komunikacyjnego z innymi organizmami z Cefi. Dlatego z upływem czasu, rozwoju technologii, rozwoju cywilizacji unicestwili wszystkie stworzenia.

- Ale Kolo mówił, że Cefianie potrafią porozumieć się z każdym cefiańskim stworzeniem – przypomniałem sobie rozmowę z Kolo.

- A widziałeś, osobiście, jakieś cefiańskie stworzenie? - zapytał amarylis Jarosław.

- No... Nie – przyznałem.

- A widzisz. Ja też nie.

- Kolo kłamał?

- Nie wiem. Może? Kolo to profesor. Może miksuje teorię z praktyką. Albo być może gdzieś tam trzymają jakieś niedobitki cefiańskiej flory i fauny.

- W ichniejszym zoo, może?

- Moim zdaniem Cefianie są podobni do ludzi. Ewolucja znajduje podobne rozwiązania w różnych światach.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Jestem amarylisem, nie bogiem wszechwiedzącym.

- A jakie są twoje przypuszczenia? - spytałem.

- Przewaga ewolucyjna nad konkurencyjnymi stworzeniami. A potem leci samo. Jak lawina. Nie można tego zatrzymać.

- Ta dziewczynka z Indii, co ojciec ją podpalił – przypomniałem sobie. - Opowiadał mi o tym Kolo.

- To ta nienawiść do konkurencyjnych istot myślących. Nie ma już innych gatunków ludzkich, małp człekopodobnych, ludzi z innych narodów, to są jeszcze kobiety. Podobne, ale troszkę inne.

- I dlatego ma się ochotę je zamordować? Kurde, amarylis coś w tym jest. Niby taka do dupy ci wchodzi, głaszcze, chce się przypodobać, słodko się uśmiecha, przemawia czule „misieńku", a ma się ochotę ją skrzywdzić, uderzyć, a najchętniej zabić.

- Widzisz. Jesteś człowiekiem, więc wiesz.

- Człowiek się hamuje, ale...

- Gdyby kobiety nie rodziły ludzi, ale istniałby inny, alternatywny sposób rozmnażania...

- Jaki?

- Nie wiem jaki. To w tym momencie nieistotne. Obawiam się, że mężczyźni wymordowaliby wszystkie kobiety – stwierdził amarylis Jarosław.

- Nie przesadzaj – oburzyłem się.

- Nie przesadzam. Bo żeby gatunek uznać za agresywny, to nie każdy indywidualny osobnik musi być agresywny. Ważna jest tendencja. Nawet leciutka przewaga. Kropla która drąży kamień. Bo czas mierzymy pokoleniami.

- Nie będę się z tobą kłócił. Przypomniała mi się Alessia.

- To była twoja dziewczyna? - spytał amarylis Jarosław.

- Nigdy tak jej nie nazwałem. Ale łączył nas seks. To znaczy z mojej strony...

- Opowiedz o niej.

- Znalazłem się na Księżycu bez środków do życia. Statek na Cefi odleciał beze mnie. Mówiłem ci o deszczu kamieni?

- Pamiętam.

- Musiałem zarobić na swoje utrzymanie. Zatrudniłem się jako sprzątacz na lotnisku. To praca zdecydowanie poniżej moich kwalifikacji. Jestem po studiach jakbyś nie wiedział. Nie podobała mi się, ale byłem pod ścianą i nie mogłem wybrzydzać. Alessia była sprzątaczką. Tak jak i ja musiała czyścić obsrane, śmierdzące kible. Teraz, po moim zmartwychwstaniu, inaczej ją oceniam.

- To znaczy?

- Wtedy nią gardziłem. Nie miałem do niej szacunku. Oceniałem Alessie jako byle kogo. Była przecież tylko sprzątaczką.

- Ty też – przypomniał amarylis Jarosław.

- Właśnie. Ale ona to wybrała taki zawód, a ja zmuszony zostałem przez okoliczności.

- A teraz jak ją oceniasz?

- Ona twierdziła, że mnie kocha. Ale chodzi o coś innego. Irytowało mnie, że Alessia zawsze wiedziała, w jakim jestem humorze. Kiedy jestem wściekły, a kiedy zadowolony. Zaczynałem coś opowiadać, a ona mi przerywała i podawała zakończenie zdarzenia zgodne z rzeczywistością. Wkurzałem się, bo uważałem że mnie notorycznie śledzi. Bo niby skąd mogła wiedzieć? Alessia zaprzeczała. Twierdziła, że mnie współodczuwa. Nie wierzyłem. Zarzucałem jej kłamstwo, obłudę i wścibstwo. Ale teraz, jak rozmawiam z tobą, Jarosław, czuję, że się myliłem.

- Alessia mogła komunikować się z twoim ciałem na płaszczyźnie podobnej jak ty teraz ze mną – zauważył amarylis Jarosław.

- Właśnie! Alessia mówiła, że się ze mną scala. Sądziłem, że chodzi jej o seks. Opowiadała, że możemy być jednością. Jedność w dwóch ciałach. Czy to możliwe?

- Tak. W pewnym sensie.

- Uważałem, że jej odbija – przyznałem z przykrością.

- Chciałbym ją kiedyś poznać – westchnął amarylis Jarosław. - Uważam, że ta kobieta posiada ogromną inteligencję duchową.

Któregoś dnia przyszła do mnie delegacja Cefian z Kolo i Bolo na czele. Powiedzieli, że wiedzą, że rozmawiam z amarylisem, ponieważ mają nagrania, gdy godzinami w bezruchu siedzę po turecku z dłonią dotykającą amarylisa. Tak mnie podeszli, że trudno mi było zaprzeczyć. Kazali mi powiedzieć wszystko, co wiem. Pomyślałem, że jak trochę puszczę farby, to dadzą mi spokój. Myliłem się. Zaczęły się przesłuchania. Najpierw uprzejme prośby. A potem groźby. Żądali bym podał im szczegóły, o których nie miałem pojęcia. Naciskali coraz mocniej. Cefianie zaczęli mnie torturować. Sprawiali mi ból kłując mi ciało i rażąc czymś w rodzaju prądu. Przysięgałem, że mówię wszystko co wiem. Sprawdziło się to przed czym ostrzegał Jarosław. Wydrążyli mi w czaszce otwory jak w durszlaku. Przez te otwory prowadzili przewody do mózgu.

***

Tę opowieść skończę ja amarylis Jarosław. Enzo już nie żyje. Cefianie potrzebowali jego mózgu i fizycznego ciała do badań naukowych. Wycisnęli z niego co się dało i zabili. A przecież ostrzegałem.

Być może powinienem bardziej czuć się winny. Mogłem ostrzeżenie przypominać w trakcie seansów. Ale uczciwie przyznam, że mi się nie chciało. Enzo już mnie nużył i męczył. Był taki ubogi, mierny duchowo. Czy ludziom jest żal zabijanych roślin? Jeszcze takich niepozornych jak amarylisy? Nie! To czemuż ja mam się przejmować?

Swoją drogą już z niecierpliwością czekam na nowego człowieka. Mam nadzieję, że zaproszą do mnie Alessię. Z taką kobietą (w sensie inteligentną duchowo) nie będę się nudził.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

tulipanowka, dodano 06.11.2014 09:32

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.